

Namibia – kraj odważnych ludzi

6 kwietnia 2009

Angelina, Eben i Julietta nie bardzo nawet wiedzą, gdzie leży Polska. Opowiadam im o trudnych przejściach Polaków, próbując wskazać podobieństwa do wolnościowych dążeń Namibii.

„We brave people of Namibia” mówią i śpiewają o sobie mieszkańcy Namibii. Jaką skalą mierzyć ich odwagę, czy porównywać ich do nas, którzy przetrzymali ponad sto lat niewoli, nie poddali się rozbirom i zachowali swoją tożsamość. Tak, znamy problemy związane z niepodległością, wiemy co znaczy okupacja, wiemy, że dla idei wolności warto żyć i ... umierać. Udowodnili to nasi przodkowie przelewając krew w wielu skazanych na niepowodzenie powstaniach. Wiemy, jak ważny jest dla nas orzeł, albo jeszcze bardziej korona, którą przyozdobili go nasi królowie. Wszystkie spory o niepodległość mamy już za sobą i nie wątpimy, że Rzeczpospolita to kraj od wieków suwerenny, kraj z tradycją i tysiącletnią historią. To nas nazywali wieszczce Mesjaszem Narodów. To my chcieliśmy by inni również umierali za Gdańsk.

Angelina, Eben i Julietta nie bardzo nawet wiedzą, gdzie leży Polska. Opowiadam im o trudnych przejściach Polaków, próbując wskazać podobieństwa do wolnościowych dążeń Namibii. Uśmiechają się, przytakują i zaznaczają, że to ich zasługa, że żyją w wolnym kraju. Niemiecki kolonializm, południowoafrykański apartheid przegrały z tożsamością mieszkańców Namibii. Właśnie, wahałem się, czy nazwać ich Namibijczykami, jeśli żyje tu ponad czterdzieści różnych grup plemiennych. Może zatem podejść do tego tematu z perspektywy języka, przecież my Polacy śmiało możemy dzięki naszej mowie określać, czy ktoś przynależy do naszego narodu. W Namibii ten miernik nie znajdzie zastosowania, językiem urzędowym – a jest nim angielski – posługuje się tylko siedem procent ludności.

Reszta to dziesiątki narzeczy, dialektów, które często istnieją w obrębie jednej wioski.

W takich okolicznościach zjednoczył się mimo wszystko i wbrew zabiegom innych krajów, dwumilionowy naród i w 1990 r. ogłosił światu swoją niepodległość. Południowa Afryka próbowała jeszcze panować w kilku miastach czy prowincjach, jednak wolnościowych dążeń Namibii nie dało się już powstrzymać. Sam Nujoma, bojownik organizacji SWAPO i wreszcie pierwszy prezydent Namibii, poprowadził swój kraj do niepodległości. Cierpliwość, upór i nadzieja doprowadziły naród w końcu do wolności. Symbolem nowego kraju stał się oryks, antylopa, która ozdabia swoim wdziękiem wiele namibijskich farm i – ku uciechu smakoszy – ląduje też czasem po mistrzowskiej obróbce miejscowych kucharzy na talerzach gości odwiedzających stylowe, komfortowe lodges.

Po raz pierwszy stek z oryksa, oczywiście kelnerka nie omieszkała zapytać czy medium, skosztowałem w restauracyjnym wagonie komfortowego pociągu Desert Express. Mówiąc pociąg należy zapomnieć o wszelkiego tego typu pojazdach, które budzą mieszane uczucia u naszych rodaków. Na usprawiedliwienie naszych kolei dodam, że tutaj w Namibii nigdzie nie trzeba się spieszyć, niezbyt szybkie tempo jest zaletą gdy podziwia się krajobrazy. Ale chyba na tym wszelkie próby porównań się wyczerpują. Przygoda zaczyna się w Windhoek, na głównym dworcu w stolicy kraju. Centralnego dworca raczej nie przypomina, co tylko zaliczyć można na jego korzyść. W zadbanym budynku, gdzie w kątach stoją donice z pięknym kwiatami, zastaję gromadkę dzieci. Od razu przykuwają moją uwagę, zwłaszcza, że siedzą w rzędach na podłodze. Jest ich gdzieś ze trzydzieści, z tyłu stoi nauczycielka.

Mam na uwadze wciąż w myślach powtarzaną frazę – jesteś turystą, obcym, ale postaraj się być nie być gościem, którego zakłopotani gospodarze chcieliby się jak najszybciej pozbyć. Podchodzę więc do, jak przypuszczam, nauczycielki i pytam z uśmiechem czy mogę zrobić zdjęcie. „Yes, sure” pada odpowiedź

i ku mnie kierują spojrzenia zaciekawione dzieci. Nauczycielka, jak się okazało przedszkolnej grupy, mówi coś w swoim języku do dzieci, które wstają zaczynają śpiewać i poruszać się rytmicznie. Okoliczni ludzie śmieją się i klaszczą, a ja trochę zażenowany, że wywołałem takie zamieszanie, robię najpiękniejsze zdjęcia. Zdjęcia spontanicznych, optymistycznie nastawionych do życia ludzi. Angelina, która stoi przed pociągiem serwując na tacy kolorowe koktajle informuje, że czas wsiadać do pociągu, za chwilę Desert Express ruszy na południe, w kierunku Fish River Canyon. Wciąż oglądając się za siebie, starając się zapamiętać roześmiane twarze dzieci, wsiadam do pociągu. Jeszcze przez okno widzę, że nastrój zabawy udzielił się też stojącej na peronie rodzinie – rodzice klaszczą, dzieci podskakują.

Rytmicznie też i coraz szybciej stukają po szynach koła Desert Express, komfortowego pociągu w Namibii. Swoją normalną trasę przemierza w nocy jako turystyczny pociąg z Windhoek do Swakopmund. To stanowczo za krótko by rozkoszować się podróżą w Desert Express. Dlatego wybieram o wiele ciekawszy wariant podróży, gdy pociąg w ramach czarteru wyrusza w dłuższą i zróżnicowaną trasę. Początkowo obawiam się, że stracę kontakt z codziennością kraju, z życiem i problemami jego mieszkańców. A po to tutaj przyjechałem, by poznać ich bliżej, by zrozumieć ich dążenia i problemy, zobaczyć piękno przyrody i w końcu posmakować afrykańskiej przygody. Wątpliwości szybko rozwiewa kontakt z personelem pociągu i możliwości, jakie objawiają się podróżując Desert Express-em. Szybko przekonuję się, że załoga cieszy się, gdy znajdują się chętni do skorzystania z takiej formy podróżowania po Namibii. Pociąg daje personelowi, pracownikom stacji, wielu osobom, które czuwają nad jego sprawnym przejazdem przez kraj godziwe miejsca pracy. Pracownicy kolei, z którymi mam okazję rozmawiać, potwierdzają, że ich serwis, naprawdę rzadko spotykana uprzejmość są niewymuszone i cieszą się, gdy do ich kraju przyjeżdżają „biali ludzie” z Europy. Każdy gość, turysta, który korzysta z ich usług może być świadom, że dokłada swoją

małą cegielkę do budowy egzystencji tego dumnego narodu.

Wydaje się na pierwszy rzut oka, że monotonny krajobraz za oknami szybko się znudzi, że godziny spędzone w pociągu będą dłużyć się nieskończenie. Nic bardziej mylnego. Tu zaczyna wręcz brakować czasu. Taka podróż wyzwala w ludziach jakieś trudne do określenia emocje i myśli. Nagle dostrzegasz w bezkresnym pustkowiu siebie samego. Również każdy inny człowiek, gdy tylko pojawi się w zasięgu twojego wzroku, staje się partnerem do ekscytującej rozmowy. Odkrywasz w sobie dziwną moc i... optymizm. Chłoniesz wszystkimi zmysłami każdy przejaw natury. Leżąc na łóżku w przedziale z pustynią w tle czytasz opowiadania afrykańskich autorów, pisarzy, o których istnieniu w Europie nikt nie słyszał.

Podzielasz myśli Charles'a Mungoshi, który zastanawia się w swojej książce, za co można kochać nagi, pustynny kraj, co można kochać tutaj, gdzie wszędzie unosi się suchy przez słońce wypalony kurz, a jedyny cień sunący po ziemi pochodzi od lecącego sępa.

A jednak burza myśli dąży w jednym, jakby z góry zaprogramowanym kierunku – tak, można kochać ten kraj. Tak, można poddać się jego urokowi. Tak, można zacząć się zastanawiać, czy nasza zachodnia cywilizacja i jej wszędobylski pośpiech, dzierży jedyny słuszny monopol na sposób na życie. Z drugiej strony myślisz sobie, że tak, nasz kierunek jest słuszny, bo przecież Afrykańczycy chcą nas naśladować i żyć tak, jak my. Niezupełnie w to wierzę.

Wolna chwila, tak to zabawne stwierdzenie – tutaj każda minuta to twój wolny czas. Pośpiech został w pogrążonej w śniegu Polsce. Gdy już odłożysz książkę i wysłuchasz ulubione melodie na swoim ipodzie, udasz się – sorry, za porównanie – do wodopoju.

Tu już czekają podróżni spragnieni chłodnego Windhoek Lager (piwo jest rewelacyjne) i win rodem z Południowej Afryki.

Ciekawe, wielu dochodzi do podobnych wniosków, magia Namibii działa – poddają w wątpliwość zdobycze naszej cywilizacji. Profesor z Francji, gdzie przecież sztuka gotowania to narodowa cecha, stwierdza, że stek z oryksa (gatunek antylopy) to delikates, z jakim z trudem mogą się równać specjały z Burgundii czy Prowansji. Zadziwiające jak w małej pociągowej kuchni kucharz Philip wyczarowuje coraz bardziej wydumane potrawy.

PODRÓŻE KULTUROWE – POCIĄGIEM PRZEZ NAMIBIĘ

Trasa podróży biegnie przez cały kraj i obejmuje łącznie pięć noclegów w komfortowym pociągu Desert Express i siedem noclegów w wygodnych, stylowych lodges. Pokonując ponad 2000 km pociągiem i częściowo autokarem (wycieczki ze stacji w okolice, gdzie nie ma torów kolejowych) miałem okazję poznać w Namibii:

- Kanion Fish River,
- las kołczanowy niedaleko Keetmannshoop,
- rezerwat skalny Giant's Playground,
- pustynia Namib i wydmy Sossusvlei,
- Kanion Sesriem,
- miasta Walvis Bay i Swakopmund,
- masyw gór Spitzkoppe,
- Park Narodowy Etosha i trzy okazje do wielogodzinnych safari,
- dawne górnicze miasto Tsumeb,
- stolica Windhoek, przedmieścia Katutura zamieszkałe przez czarnych mieszkańców,
- rynek Soweto, projekt samopomocy Penduka.

LUDZIE

O wspomnianych wyżej atrakcjach i miejscach łatwo znaleźć informacje w dostępnych przewodnikach. Dlatego moje wrażenia z podróży pociągiem Desert Express, chętniej przedstawiam z perspektywy kontaktów z mieszkańcami Namibii. Dużą zaletą właśnie tej podróży był nieskrępowany kontakt z tubylcami.

Realne poznanie ich życia było możliwe właśnie dzięki takiej formuły podróży, jaką stwarza przejazd pociągiem. Personel pociągu był nawet pomocny w nawiązywaniu rozmów, zwłaszcza wtedy, gdy miejscowi nie znali angielskiego.

EBEN I JACKIE

Dzieje swojej rodziny chętnie opowiadał mi Eben, który jako kierowca zawozi podróżnych z pociągu do hoteli. Jego pradziadek Munjuku Nguvauva był ostatnim królem ludu Herero. Można zobaczyć na zdjęciach w podręcznikach historii, jak w kajdanach prowadzony jest przez kolonialnych żołnierzy do niewoli. Mimo represyjnych działań władz kolonii przed pierwszą wojną światową Herero przetrwali, zachowali swoją tożsamość i tradycję, z której do dziś są dumni. To ich kobiety ubarwiają swoimi charakterystycznymi sukniami i czapkami w kształcie bawolich rogów ulice namibijskich miast. Najpierw myślałem, że zdjęcia w przewodnikach przedstawiające kobiety w tych wiktoriańskich obszernych strojach były specjalnie wyreżyserowane.

Eben potwierdził jednak, że kobiety Herero (mężatki i narzeczone) wręcz muszą nosić te niezbyt praktyczne w upale suknie. Na dodatek nie można ich kupić w sklepie, są szyte na miarę i według wzoru, jaki życzy sobie ich właścicielka. Jackie, przyszła żona Ebena, na zaproszoną kolację zjawiła się w wyjątkowo malowniczej sukni.

W końcu fakt, że poślubi potomka króla, którego imieniem nazwano nawet główną ulicę ich miasteczka, zobowiązuje. Tego wieczora Eben wyznał mi z satysfakcją, że zebrał już kwotę odpowiadającą wartości jednej krowy, przez co ma już połowę sumy, jaką musi zapłacić rodzicom Jackie, by dostać rękę ich córki.

ŁUDZIE W KRAINIE DAMARA – SPOTKANIA U PODNÓŻA GÓRY SPITZKOPPE WYSOKI

Stacja kolejowa, jak zwykle, ograniczała się do jednej tablicy

z jej nazwą – Ebony. Tu, gdzieś w środku sawanny, zaczęła się droga do Spitzkoppe, szczytu niewiele wyższego od naszej Śnieżki. Bezdroża, bujna dzięki obfitym deszczom roślinność sawanny i bezkresny krajobraz. Widoki, które cieszą oko, przestrzeń, która wycisza i pozytywnie nastraja na kolejną afrykańską przygodę. W końcu dostrzegam górę – masywnie posadowiona, wznosząca się stromo i gwałtownie, tym bardziej, że pojawia się nagle na nizinnym terenie. Środkowe partie góry zasłonięte chmurami, ponad które wystaje widoczny szczyt. Koryto rzeki, zazwyczaj przejezdne, dziś wypełnione jest wodą. Revier, jak nazywają miejscowi okresową rzekę, niesie tak obfite masy wody tylko raz na dziesięć lat. Akurat teraz przypada ten szczególnie obfity w deszcze rok. Samochód trzeba więc zostawić i dalej iść piechotą. Bród badają jeszcze chętnie i przez nikogo nie pytani lub proszeni tubylcy. Mężczyźni z ludu Damara. Podciągają swoje kolorowe spodnie, butów nie muszą zdejmować, bo ich nie mają, pokazują, że wcale nie jest głęboko i można jechać dalej. Kierowca, Eben, woli jednak nie ryzykować.

Wcale się nie martwię taką przeszkodą, biorę buty do ręki i z uśmiechem – woda chłodzi nogi – przechodzę na drugi brzeg. Ta nagła przeszkoda staje się okazją do pierwszego kontaktu z ludnością Damara. Pierwszy z kamieniami podchodzi rosły trzydziestolatek. Włosy gęste, czarne, postawione do góry, jakby poraził go prąd, wielkie oczy, których białka kontrastują z niezwykle czarną twarzą. Wystrzępiona koszula i spodnie do kostek, w rękę trzyma tackę z kamieniami. Patrzy głęboko w oczy, wyciąga rękę z tacką i oferuje swój urobek, czy raczej znalezisko. Kamieni jest ze dwadzieścia, kolorowe, przeróżne, podobno półszlachetne, można je wtopić w pierścionki. Wybieram kilka ciekawych kamieni, oferta jest oryginalna i sprzedawca nienachalny, kupuję. Jest to w zasadzie główne źródło utrzymania miejscowych ludzi z plemienia Damara.

Ziemia bogata geologicznie daje im swoje dary, łaskawa, jak

niegdyś dla ich przodków, gdy hodowali owce. Gdy wsypuję kamienie do torby, widzę, że Wysoki grzebie za koszulą i próbuje coś wyciągnąć, co się rusza i przesuwa po piersiach. W końcu złapał i wyciąga – twarz ta sama, głębokie spojrzenie, rysy nie drgnęły, zero uśmiechu – szare podłużne zwierzątko, chyba surykatkę. „Five dollar” – pada kolejna oferta. Tanio, na nasze niecałe 2 złote, ale patrzę zdziwiony, bo co ja tutaj będę robił z takim zwierzakiem, jak go zawiozę do domu. Nawet nie wiem, czym taką surykatkę karmić albo gdzie trzymać. To jednak zdaje się nie być żadnym problemem dla Wysokiego. Zwykła oferta, ma zwierzaka i chce go sprzedać. Tak samo, jak kamienie. Kręcę głową, że nie chcę zwierzaka. Podchodzi mała dziewczynka, sięga Wysokiemu ledwie ponad kolana. Patrzy w górę, nadąża oczami za wierzgającą się surykatką. W końcu Wysoki podaje jej zwierzaka na ręce. Może to jego córka, na pewno lubi i zna zwierzę, które od razu się uspokaja na rękach dziewczynki. Wiem, że zrobiłem dobrze, że nie dobiłem targu o zwierzaka. Nie wiem tylko, które rozwiązanie byłoby lepsze : dać Wysokiemu pięć dolarów, wziąć zwierzaka i wypuścić go za pierwszym drzewem, czy zostawić go w rękach dziewczynki. Dumny uśmiech dziecka i jej radość z głaskania i przytulania niech są podpowiedzią do tego dylematu.

NAOLA

„Jaki piękny widok, oszałamiający, codziennie na to patrzą” zachwyca się Andreas. Wiem, że w jego ustach to nie ironia. Wiem, że Afrykę kocha na pewno, choć do określenia swoich uczuć używa stonowanych słów. Na pewno wyraża swój spontaniczny zachwyt, na jaki tylko stać człowieka, który rowerem przejechał Saharę. Jednak otoczenie i okoliczności, a w szczególności bohaterowie i świadkowie tego widoku nie zdają się nim przejmować i podzielać tego zachwytu. Dla dzieci ze szkoły u podnóża Spitzkoppe to widok prozaiczny i w ogóle nienadzwyczajny. Dzieci są ożywione, ale nie rozwrzeszczane, zainteresowane, widać, że kipiąca w nich energia mogłaby wybuchnąć w każdej chwili, ale zachowują się godnie. Nawet nie

wiem, czy to dobre słowo, jak to brzmi: dzieci – godnie ? Przecież to ich odwieczne prawo, by skakać, krzyczeć, zachowywać się w mniemaniu dorosłych zbyt spontanicznie. One są inne – dzieci ze szkoły z pięknym widokiem na Spitzkoppe. Widok z okna ich klasy, który zachwycił Andreasa, nie wywiera na nich większego wrażenia.

Majestat przyrody onieśmiela obcych, a dla nich staje się piętnem. A przynajmniej dla ich rodziców. Nauka w szkole z wyżywieniem i internatem kosztuje 240 dolarów namibijskich rocznie (około 90 złotych) i jest dla wielu rodziców ogromnym i zbędnym wydatkiem. Dlaczego mają płacić za naukę, której nie rozumieją. Oni, ich przodkowie, cały lud Damara zawsze żył tu, u podnóża Spitzkoppe, z tego co obrodziła kapryśna natura. Po co ich dzieciom szkoła, długopisy i książki. Muszą nauczyć się walczyć by przetrwać. Do tego nie trzeba nauczycieli i murowanej szkoły. „Saibene jest oświecona. Saibene wie, że trzeba uczyć, studiować i pracować w mieście” – mówi o sobie szczupła nauczycielka w białych spodniach, czarnej bluzce i z komórką w ręku. Twierdzi, że tradycja, powszechnie rozumiana (w Europie) jako coś, co warto pielęgnować, jest tutaj przekleństwem. Bo po co komu taka tradycja, gdzie poluje się na dzikie zwierzęta, mieszka tam, gdzie akurat jest woda i nie trzeba kupować dziwnych rzeczy w sklepie. Saibene wie, że taka tradycja to stygmat, którego trzeba się jak najszybciej pozbyć. Raz i skutecznie. I mówi to jako potomek Buszmenów, którzy żyli tu od stuleci. Zostawili po sobie, obecnie mocno już starte i wyblakłe, rysunki naskalne.

Faktycznie, co to za tradycja, co nie pasuje do świata. Ich świata i naszego. Kiedyś budowali, choćby tymczasowe, solidne i trwałe szałasy. Ładne, w harmonii z otoczeniem. Dziś ich nie widać. Ich miejsce zajęły blaszane i tekturowe budy. Zadaszenia i ściany sklecone z plastikowych butelek, aluminiowych puszek i wyklepanych beczek po oleju. Jak nazwać coś takiego domem – zastanawia się Saibene. Dziwnie brzmi tutaj to słowo, dla nas jako podstawowa potrzeba, spełniona w

myśl norm, przepisów, okupiona kredytem i oznaczona pocztowym numerem.

Naola i Velimene, 12-letnie dziewczynki ze szkoły u podnóża Spitzkoppe, są zakłopotane, gdy pytam o adres ich domów. „Adres mam w głowie” – tłumaczy Naola – „Po prostu idę i wiem, gdzie trafić”. „No tak, ale gdy ktoś chciałby ci przysłać list, to jaki adres ma napisać” – pytam. Patrzy zdziwiona, zbiegają się koleżanki i koledzy, ale nikt nie potrafi podać swojego adresu. W końcu Velimene promienieje – tak widziała taką skrzynkę na domu w Walvis Bay, gdzie jej tata czasem pracuje u białych jako ogrodnik. To może posłać list tam, do tej skrzynki ... Dzieci są ufne, wyczekują na każdy gest obcego, odwiedzającego ich szkołę. Dotykają mnie i śmieją się, że skóra taka biała, a ze mnie kapie woda. Wyjmuję butelkę z wodą, chcę pociągnąć orzeźwiającego łyka, gdy zastygają ruchy wszystkich zgromadzonych wokół mnie dzieci. „Co?”, pytam się raczej siebie niż ich. Podaję butelkę pierwszej ręce, która jest najbliżej mnie. Gromadka odbiega ze zdobyczą, dzieli się wodą, butelka wędruje z rąk do rąk i dzieci piją śmiejąc się. Po chwili już są i wyczekują, co też ten biały jeszcze wyjmie ze swojej magicznej torby. Nie można zapomnieć tych dużych oczu, uśmiechów z olśniewająco białymi zębami i tak – trzeba przyznać – pięknych twarzy. Trzymają mnie za rękę i pozują chętnie gdy wyjmuję aparat. Najpierw chciałem zapomnieć, że mam go ze sobą. Wstydziłem się zachować jak turysta w skansenie. To jest ich realne życie, to nie jest żaden folklor czy eksponat w muzeum.

Zabawa i śmiech, jakie powoduje zobaczenie własnej twarzy na ekranie aparatu, radość fotografowanych dzieci ośmiela mnie – robię zdjęcia, teraz każdy chce siebie zobaczyć, a tych małych lśniących w słońcu twarzy jest ze sto. Dzieci prowadzą do swoich klas, pokazują zeszyty, jakieś wycinanki. Naola wyjaśnia, gdzie jedzą obiad, gdzie nocują i że do swoich rodzin w zasadzie jeżdżą tylko na wakacje. Jak spędzają wakacje wśród blaszanych siedlisk, już nie pytam. Wzrokiem

odprowadzają mnie dwie nastolatki, nie podskakiwały jak ich młodsze koleżanki. Siedziały i obserwowały. Jasne, to normalne, co to sensacja, przyszedł jakiś biały gość i to wszystko. One mają swoje sprawy, jak to dziewczyny w ich wieku. Siedzą i żują ... nie gumę, kartkę papieru. Dzinsów też nie miały.

KRISTIAN

Koszula zanurzona w strumieniu przynosi ochłodę, ale nie na długo. Wspinaczka na skały gór Spitzkoppe jest w miarę łagodna i dostępna dla każdego. Stromy odcinek ok. 300 metrów pokonuje się za pomocą umocowanego do skał łańcucha. Stoję obok malowideł sprzed tysiąca lat, próbuję odszyfrować obrazy malowane przez Buszmenów. Są wyblakłe, z trudem można rozpoznać kształty antylop i sylwetki myśliwych. Wizualne wrażenia na szczęście uzupełnia piękna panorama, jaka roztacza się na całą okolicę. Z nieba leje się żar, co daje tylko większą satysfakcję, utwierdza człowieka, że dał radę, że przetrwał tu w egzotycznej Afryce.

Choć to określenie trzeba zostawić gdzieś głęboko w atlasie. Afryka to zbyt obszerne pojęcie. Jestem tu i teraz w regionie zamieszkałym przez ludzi Damara. Nawet oni obojętnie reagują na hasło Afryka. Dla nich jest to zbyt abstrakcyjna nazwa, liczy się obszar, przestrzeń, gdzie żyją, problemy ich dnia codziennego. Czy tak wygląda Afryka ? Słusznie odpowiadają, że nie wiedzą. Afryka składa się z setek pojedynczych obrazów i wrażeń. Nawet upał nie jest wszędzie taki sam. Można go ujarzmić, a na pewno nie trzeba się go bać. Wystarczy tu tylko raz przyjechać, a Afryka wynagrodzi trudy podróży, zauroczy swoim pięknem.

Schodząc z gór rozmyślałem dalej nad duszą Afryki, nad jej darami, gdy zobaczyłem na drodze gitarzystę. Pamiętałem to miejsce, w zasadzie skrzyżowanie. Szedłem w tamtą stronę i stały tu dwie kobiety. Młoda i stara, dumne, wyprostowane. Młoda nie mówiła nic, stara tylko wskazywała ręką na naszyjnik

z kości antylop. Teraz obrazek wzbogacił się właśnie o trzecią postać. Mężczyzna siedział na kamieniu w czarnym t-shircie, spodniach nie określonej barwy i brzdąkał coś na gitarze. Spoglądał zamyślony w niebo, na góry, to znowu na gitarę. Przyglądał się mi. Pewnie zaraz będzie namawiał mnie do kupna naszyjników z kości i szyszek. Wstał – „Mieszkam tam za górą” – powiedział. Kiwnąłem głową i szedłem dalej.

„Chcę grać, to moja kultura” – na prawdę użył tego słowa. Idę dalej i nie waham się co do jego intencji. Dotrzymuje mi kroku i opowiada o swojej muzyce i gitarze. Chyba nie będzie chciał wcisnąć mi tej swojej gitary z nadłamanym gryfem i pordzewiałymi strunami, myślę sobie. Patrzę ostentacyjnie na zegarek i mówię, że śpieszę się, bo muszę dotrzeć do mojego pociągu. Mężczyzna nadal mi towarzyszy i ostrożnie, jakby z namaszczeniem, niesie swoją gitarę. „Będziesz tu jeszcze u nas” – pyta w końcu. Odpowiadam, trochę bez przekonania, że raczej tak, że będę w przyszłym roku. „Great” – odpowiada – „Bo mam do ciebie prośbę, jak będziesz tu znów jechał, to kup mi struny, bo na tych nie mogę już grać”. Stałem jak wryty. „Jestem Kristian, jakbyś o mnie pytał, Kristian, mieszkam tam za górą”.

Autor: Radosław Skrodzki

Źródło: Wiadomosci24.pl